

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

[46]



Karol Mecherzyński.

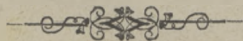
KAROL MECHERZYŃSKI.

Podajemy wam dziś wizerunek człowieka bardzo zasłużonego, autora wielu dzieł niepospolitej wartości. Karol Mecherzyński, przeżywszy lat 77, zgasł przed rokiem w Krakowie, gdzie się urodził i gdzie przez całe życie poświęcał się pożytecznej pracy. Wykładał język polski i łacinę w szkołach gimnazjalnych, a następnie historią literatury polskiej w Akademii, był członkiem Towarzystwa Naukowego i Akademii Umiejętności, a oprócz tego wiele pisał. Niektóre jego prace przeznaczone były wyłącznie dla młodzieży, jako to: *Stylistyka, czyli nauka obejmująca pravidła dobrego pisania, Wypisy dla szkół żeńskich, Historia literatury polskiej, Przykłady i wzory prac znakomitych pisarzy*.

Innych dzieł poważniejszej treści wyliczać nie będziemy, wspomnimy tylko o najważniejszej, którą śmiało pomnikową nazwać można. Długosz, znakomity historyk polski, żyjący w XV wieku, według ówczesnego zwyczaju pisał po łacinie. Teraz już nie każdy tak dobrze zna ten starożytny język, aby mógł z łatwością czytać dzieło Długosza, a nikomu w dawniejszych czasach nie przyszło na myśl przełożyć je po polsku. Dopiero Karol Mecherzyński dokonał tego przedsięwzięcia, a przekład ten: *Jana Długosza, Dziejów polskich ksiąg dwanaście* jest ze wszystkich prac jego najważniejszą.

Jak wszyscy ludzie, prawdziwie wyżsi nauką i zasługą, Mecherzyński był nadzwyczajnie skromny, nie wynosił się nigdy z zasług swoich, ale przeciwnie mało o nich trzymał. Tak naprzykład w przedmowie do przekładu Długosza powiada: „Żałować należy, iż do przekładu nie przyszło w złotym dla polszczyzny Zygmunto wskim wieku, gdy język nasz bliższy swego pierwotnego źródła świeży, czysty i jędrny, sposobniejszym był do wydania wdzięcznej i poważnej prostoty Długosza. Na mnie spadło to brzemię; jeżeli mu słabe nie sprostały siły, godzi się przynajmniej pomnieć na trudności tłómacza”.

Karol Mecherzyński przez lat 25 był nauczycielem gimnazjum, a drugie tyle profesorem akademii. Całkowite więc pół wieku poświęcił dla wychowania młodego pokolenia.



DZBAN ROZBITY.

LEGENDA O ŚWIĘTYM JANIE KANTYM,

przez

SEWERYNĘ DUCHIŃSKĄ.

I.

Po nad Rudawą, u stóp Wawelu,
W pogodzie ducha, w sercu weselu,
Szedł kapłan Boży lekkimi kroki.
Wzrokiem widnokrag objął szeroki.
Kłosa na łanach przed nim się kłonia,
Zioła nań słodką buchnęły wonią,
Wkoło go pszczołek okrażają roje:
— Zkąd on — pytają — ssie miody swoje?
Zaliż te kwiaty na ziemi rosna,
Że mu ich nie brak zimą jak wiosną? —
Śpiewny skowronek widzi go z góry,
W lot ku świętemu mknie przez lazury,
Kraży nad czołem, pyta w pokorze:
— Czemuż w niebiosa wzbic się nie może
Tak wysokimi jak on poloty? —
A słońce promień rzuca nań złoty,
Barwi mu lica i jasném kołem
Ponad pogodném zawisło czołem.
A święty idzie łąką kwiecistą,
W myśli mu błogo, w duszy przeczysto,
Wszędzie głos Boży pochwyć umie,
W szeleście wiatru i w kłosów szumie,
Nim karmi serca, ożywia chęci.
Na ziemi tylko szczęśliwi Święci.

Lecz ma i Święty troskę niekiedy,
Czasami nie wie jak wybrnąć z biedy.
Kapłana lice czemu się zmienia?
Czemu płaszcz długi spuścił z ramienia?
Czemu wilgotną zmiata nim rosę?
Bo kapłan Boży ma nogi bose,
A z kurzej stopki, wśród dziatwy grona
Oknem królewska patrzy matrona.
— „Może zobaczy, mcze zagada!
Pomyślał Święty: biadaż mi, biada!
Dobrej królowej cóż ja odpowiem?”
Myśl ta mu w sercu cięży ołowiem.
I sam do siebie wyszepce z cicha:
— „Grzeszném jest kłamstwo, grzeszniejszą
[pycha.

Gdy mnie królowa przywoła w progi,
Skoro zobaczy me bosc nogi,
Jeśli zapyta: — rzec prawdę muszę,
A szatan skrycie czyha na duszę!
Niech się w nią tylko wplącze myśl próżna,
Na potępienie wyjdzie jałmużna!
Powiem, że złodziej wkrađł się do domu...”

Tu Boży kapłan zadrżał od sromu.
— „Anieli! rzece — bądźcie mi strażą,
Niech się me usta kłamstwem nie mażą”.

Wspomniał, jak odzian w pielgrzymie szaty,
Zdązał do Rzymu dawnemi laty;
Jak w Apeninach zgrają nań spada
Zbrojna w maczugi zbójców gromada;
Jak mu wydarli srebro i złoto,
Jak im zaprzysiągł z serca prostotą,
Że ni szeląga nie ma przy duszy,
Jak w dalszy pochód lekko wyruszy.
Aż gdy cieniste minął wąwozy,
Włos mu nad czołem zadrżał od grozy,
Zapłakał rzewnie, bo przypomina,
Jak mu pobożna ręka matczyna,
Gdy próg rodzinnęj opuszczał chaty,
Trzy sztuki złota wszyła w skraj szaty.
Toż w imię Boga zaprzysiągł krzywo!
Ku zgrai zbójców pędzi co żywo,
Składa z pokorą mienia ostatek.
Zdumieni zbójcy patrzą na datek,
Z oczu im ściekły gorące strugi,
Precz odrzucają twarde maczugi,
Do stóp kapłana zgraja się zbliża,
On nad grzesznymi kreśli znak krzyża,
I duch światłości w serca im zbieży...
Ach! on w cześć Panu ujął snop świeży.

Gdy święty myśli na wątek mota
Zwarte Wawelu pominął wrota,
Oddaje winny pokłon królowej,
Zgięły się przed nim królewiał głowy,
I matka czoła chyli w pokorze,
Może nie widzi, lub widzi może,
Lecz nic królewska nie rzece pani,
Ani się zdziwi, ani nagani,
Trudnaż to, trudna rada z Świętymi,
Niech po swojemu grzeszą na ziemi!

II.

Coraz to żywiej słońce przypieka,
Łożysko Wisły świeci z daleka,
Rudawa płynie coraz to szerzej,
Śpieszy w objęcia miłej macierzy.
Znużony kapłan spoczął w olch cieniu,
Za biegiem rzeki patrzy w milczeniu,
Słucha i słucha pogwaru Wisły,
I nagle zadrżał, oczy mu błysły,
Jęk go żalony dobieży z dala.
Czy tak wiślana załkała fala,
Gdy chwyta w łono prądy Rudawy?
Zkądże ta skarga i ten jęk łzawy?...
Powstał na nogi, otarł pot z czoła,
Jakby go niosły skrzydła anioła,

Dąży za głosem, ile tchu stanie,
I coraz bliżej dobiega łkanie,

Spojrzy, a oto widzi nad rzeką
Rozlane strugą bieluchne mleko,
A dalej dziewczę włos z głowy targa,
Z ust jej żalosa wybiega skarga,
Na ziemi leżą czerepy z gliny,
To roztrząskany dzbanek dziewczyny.
Płacze i woła: „Boże mój, Boże!
Kto mi poradzi? kto mnie wspomóż?
Jam się poślizgła na drodze gładkiej,
Było w tym dzbanku mleko dla matki,
Czemże nieboga siły pokrzepi?
Nieszczęsna dola, umrzeby lepiej!
Jam zawiniła, biadaż mi, biada!”
I obie ręce pobożnie składa;
„Tyś jedno mocen wesprzeć mnie, Panie!
Rzecz tylko słowo, a cud się stanie.
Kto świat zbudował mocą swęj woli,
Ten i czerepom zrość się pozwoli
I nowe mleko wleje do dzbana”...

Słyszy to Święty... padł na kolana:
„Panie! zawoła, odpuść jej winy,
Wielkaż to wiara w sercu dziewczyny,
Ona ku Tobie podniosła oczy,
Promień Twój łaski niech ją otoczy!”

Powstał z miłością, z wiarą, z nadzieją,
Niby dwie gwiazdy oczy mu tleją,
Zbiera czerepy... i w dłoni świętej,
Zrósł się cudownie dzban rozprysnięty.
Potem go wodą napełni rzeczna,
Kreśli znak krzyża z wiarą serdeczną:
I cudem w mleko zmieni się woda.
Schwycała dzbanek dziewczeczka młoda,
Zaledwie szczęściu własnemu wierzy,
Poskoczy w płasach w progi macierzy.
Skwarem południa słońko zabłysło,
Piosnka flisaków rozbrzmi nad Wisłą,
Kmiotek za pługiem po czarnej roli
Z pieśnią na ustach idzie powoli,
Woń macierzanki z wiatrem powiewa,
Szumi murawa, szeleszczą drzewa,
I dzwon trzykrotnie z Wawelu bije,
Śpiżowym dźwiękiem sławi Maryę.

A święty kapłan, drżący i łzawy,
Ukląkł na brzegu wartkiéj Rudawy,
Wyciągnął ręce, modli się długo,
I łzy z pod powiek płyną mu strugą.
Lecz nim modlitwę dosnuł do końca,
Oschły mu lica, jak w blasku słońca
Schną na gałązkach perełki rosy,
Duszą preczystą sięgnął w niebiosy,

Niemy z zachwytu patrzy i słuca,
 Snadź mu anieli szepcą do ucha,
 Jak Pan swą łaską cudownie lepi,
 Co ludzie w kęsy rozbili ślepi,
 Jak to z czerepem czerep się zrasta!
 Mrok zapadł nocny, nie dojrzyć miasta,
 A kapłan klęczy ku ziemi zgięty,
 Modli się Panu... modli, jak Święty!

PAMIĘTNE CHWILE.

Dnia 11 Listopada r. 1683. Kiedy Jan III Sobieski odpędził Turków od Wiednia, a cesarz Leopold niewdzięcznością mu za to odplacił, zgryziony król polski opuścił stolicę Austrii i sam jeden wyruszył do Węgier, aby dalej tropić nieprzyjaciela. Puścił się wprawdzie za nim Karol Lotaryński z wojskiem austriackim, ale trzymał się zdala.

Przeszedłszy Dunaj, król skierował się ku miasteczku Parkanom i niebawem napotkał Turków, którzy nie myśleli z Węgier się wynosić. Rozpoczęły się harce wojenne, to Polacy, to Turcy zwyciężali. Kara Mohamed, który tu dowodził armią turecką, zebrawszy wszystkie siły, postanowił zmusić Sobieskiego do opuszczenia Węgier, ale mu się nie powiodło; wspierany przez Jabłonowskiego i Kątskiego, Sobieski odniósł zwycięstwo Turcy w ucieczce szukali ratunku, a gdy przebiegali most na Dunaju, ten załamał się pod nimi i mnóstwo śmierć w nurtach rzeki znalazło. Nie opuścili jednakże Węgier, schronili się do fortecy Szczeseny i stąd postanowili dalszy opór stawić, ale i tu król za nimi pociągnął, wysławszy przodem niejakiego Miączyńskiego, starostę łuckiego, na czele kozaków, kazał im twierdzę otoczyć sam zaś obiecał niezadługo przybyć.

Miączyński otoczył wojskiem twierdzę i rzucił na nią pociski, ale z murów Szczeseny grad kul się nań posypał, siejąc śmierć w jego szeregach. Kozacy poczęli się cofać, wtedy Miączyński schwytał sztandar z krzyżem i wybiegłszy naprzód, własnym przykładem zachęcał wojsko do boju. Kule i strzały tatarskie latały koło niego i objęły się o jego pancerz, on na to nie zważał, ręką prawą wskazując twierdzę, w lewej trzymał sztandar i głosem silnym, dobitnym, zachęcał żołnierzy. Porwani przykładem wodza kozacy, przypuścili szturm, a choć znowu z murów twierdzy kule poleciały, choć między nimi spadło kilku z koni śmiertelnie ugodzonych, choć krew się lała, nie cofnęli się tym razem, na wystrzały, wystrzałami odpowiedzieli.

Trzy godziny trwał bój zacięty, trzy godziny broniła się twierdza, nakoniec runęły mury, kozacy je złamali, zdobyli Szczeseny, a dzielny Miączyński utkwiał na bramie sztandar z krzyżem. Działo się to dnia jedenastego Listopada r. 1683.

Wkrótce nadciągnął Sobieski, kiedy już twierdza w rękach naszych była, a oddawszy ją załodze cesarskiej, opuścił Węgry i podążył do kraju, do starego Sącza, gdzie nań oczekiwała królowa; zwycięście Szczesenów było jednym z ostatnich tryumfów, jakie wojska polskie odniosły nad Turkami w czasie tej pamiętnej kampanii, w której Sobieski ocalił Wiedeń od muzułmanów.

Teresa Jadwiga.

SPEŁNIONE ŚLUBY.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW,
 przez M . . a.

(Dalszy ciąg).

Na wszystko to Ansgar odpowiadał spokojnie i zawsze jednakowo, że nie może w niczem podobnym nikomu dopomóc, ponieważ nie jest czarownikiem. Próbował czasem łagodnie wyjaśnić rozbójnikowi, dla czego w rzeczywistości to błogosławieństwo jego, o którego czarodziejskiej potędze ciągle Hastings wspominał, podziałało tak odmiennie na Hastingsa i na Siemowita; dawał mu przykład na roślinie, z której pszczołka potrafi słodycz wyssać, a niedobry człowiek umie ciec trującą wyciągnąć. Ale prędko zaprzestawał Ansgar takiej mowy, gdyż dusza księcia-rozbójnika nie była wcale do niej przygotowaną. Hastings rozumiał tyle tylko, że odmawiano mu czarodziejskiej pomocy i wpadał z gniewu w szały przerażające, w których byłby po tysiąc razy zabił Ansgara, gdyby nie miał jeszcze nadziei zjednania go sobie nakoniec. Krył on się w takich chwilach, ale po jakimś czasie, uspokoiwszy się trochę, rozpoczynał na nowo to, co uważał za układy z czarownikiem upartym.

Jednakże ciche słowa Ansgarego nie ginęły, przelatując koło uszu wodza: Mały Ralf był tam także i myślał nad niemi, zrazu czasem tylko, później nieustannie i głęboko. Smutek, trawiący go oddawna, usposobił wcale inaczej jego duszę, niż hulanki i zabawy usposabiała wodza i towarzyszy. Nie bez tego też, aby chociaż z przekory do Hastingsa, nie był dobrze usposobiony dla Ansgara. Powoli, w krótkich chwilach upatrzonych, lub w chwilach gniewliwych szałów Hastingsa, gdy ten oddalał się umyślnie od ludzi, czując, że sobą nie

władnie i mógłby zabić kogoś, czegoby później żałował, w takich chwilach Ralf począł porozumiewać się z Ansgarem, a później i słów jego słuchać coraz uważniej, choć daleko było od tego, aby je jasno pojąć zdołał.

Ansgar, ucieszony jego chęcią oświecenia się, błogosławił nieszczęście swoje, które go na niewolę u rozbójników skazało; a tymczasem powstawał między starcem i młodzieńcem ten właśnie stosunek, którego Hastings pragnął dla siebie, ale pragnął z interesu — stosunek ojca do syna.

Tak stały rzeczy dość długo, aż gdy Hastings począł naprawdę grozić męczarniami nieubłaganemu jak sądził czarownikowi, wtedy Ralf poddał Ansgarowi myśl ucieczki, a ten po namyśle przystał na nią; nie sądząc, aby przez to narażał Ralfa, a mając obietnicę tegoż, iż gdy tylko dopełni pewnego ślubu, zatrzymującego go przy wodzu, to odwiedzi dobrego starca w Hamburgu lub Lunie. Stało się zatem, że gdy Hastings, po napadzie szafu, usunął się od ludzi, wracając do napowietrznej swjej izby, nie zastał w niej więźnia ani nikogo. Na straszny ryk jego trąby, podobny do ryku szalonego potwora, gromada rozbójnicza, wdrapawszy się w mgnieniu oka ku wierzchołkowi skał, stanęła przed wodzem. Przebiegł ich okiem, nie brakło żadnego, prócz zwykłych a silnych straży, porozstawianych jak zawsze u stóp skały.

— Gdzie jest więzień? — spytał wódz.

Rozbójnicy zadrżeli; wszyscy wiedzieli, czém dla wodza był więzień, a więc musieli zadrzeć na myśl o jego ucieczce; ale ucieczka zdawała się niepodobną. Wszystkie oczy zwróciły się na Małego Ralfa, który mieszkając wraz z wodzem i więźniem, pozostawał sam jeden z tym ostatnim, gdy Hastings się z mieszkania, a raczej z legowiska swego oddalił.

— Czy pozwoliłeś więźniowi uciec? — zasycał wódz, zwracając się teraz do Ralfa ze straszonym swym uśmiechem i spokojem tygrysa, czającego się na swą ofiarę.

— E... — mruknął niedbale Mały Ralf — nabyłoby się zdało ułatwiać mu ucieczkę; toż onby po tych skałach zejść nie umiał, a tymczasem straże porozstawiane zabiłyby go dwadzieścia i cztery razy wedle rozkazu.

Była to prawda; Hastings zabezpieczył się przeciw możliwej ucieczce, ale niemniej więźnia tego nie było.

— Gdzież on jest?... — ryknął wódz, mocując się sam z sobą w szalonym uniesieniu, w którym gotów był zabić każdego, na kogo spojrzał. Ralf jeden mógł być winnym w tym razie, o czém wszyscy dobrze wiedzieli. Ralf tymczasem, związany niecofnioną przysięgą, tak, jak wszyscy, do odpo-

wiadania zawsze szczerą prawdę na pytania wodza, odpowiedział też prawdą, ale w głupowaty, rozwlekły sposób, który szczególnie gniewał wodza:

— Albo ja wiem?..

W istocie, nie mógł przecież wiedzieć, czy więzień żył nawet jeszcze, jak żaden człowiek nie może wiedzieć, co się dzieje z kimś oddalonym. Wódz zatrząsł się z gniewu, ale gwałtownym woli wysiłkiem zapanował nad sobą, czując dobrze, że w szybkim i trafnym działaniu jest jeszcze nadzieja niepłonna pochwylenia zbiega, i że Ralf dla tego właśnie traci czas, udając, że nierozumie pytania. Wódz i wszyscy ani pomyśleli, aby Ralf miał w tej sprawie jaki inny cel, prócz zwykłego, to jest rozzłoszczenia wodza tak, aby ten rzucił się z żelazem na niego, coby już nazywało się *otwartym bojem* i dawało Ralfowi upragnioną sposobność spełnienia bratniego ślubu. Zebrał tedy wódz wszystkie siły i począł zadawać Ralfowi krótkie, treściwe pytania, na które on już musiał jasne dawać odpowiedzi, jakkolwiek starał się zawsze mówić w swój głupowato rozwlekły sposób, najoczywiściej dla jaknajwiększej straty tak drogiego dla wodza czasu.

— Którą stroną więzień ztąd się wy dostał? — pytał wódz.

— A... a... tą.. — odpowiedział jękając się Ralf, i palcem wskazywał wprost na morze, ku któremu z tej strony napowietrznej izby skalistej, spuszczała się olbrzymia jej podstawa prawie zupełnie pionowo. Nikt nie wiedział, oprócz Ralfa, któremu wódz się zwierzał, aby go ująć, że tamtędy oni dwaj schodzili nieraz bez wiedzy bandy, ale starzec niewprawny nie mógł żadną miarą zejść tamtędy. Wódz bystro wpatrzył się w Ralfa.

— Chyba go na plecach przeniosłeś ponad przepaścią? — zapytał.

A Ralf z zawstydzoną miną jął drapać się za ucho, spuszczać oczy na sposób chłopca w kłopotcie, i kiwnął głową tak zabawnie, że rozbójnicy parsknęli śmiechem. Ralf błaznował dla rozzłoszczenia wodza, jak sądzono, ale na ten raz i dla ocalenia Ansgara, czego nikt się nie domyślał:

— Łódź pośpieszna i ośmiu wiosłarzy! — krzyknął wódz, zbiegł ze skał lotem nieledwie, wskoczył w łódź długą, obrachowaną, nie do przewozu zdobyczy, lecz na szaloną szybkość jedynie i pomknął na morze w stronę najbliższych wybrzeży Pomorza słowiańskiego, gdzie orli jego wzrok dostrzegł jeszcze znikającą łódź własną. Nie ulegało wątpliwości, że Ralf, chcąc wydrzeć Ansgara wodzowi, wysłał go nie gdzieindziej, jak do tych najbliższych wybrzeży, gdzie on w pobliżu swych Polan mógł znaleźć największe jeszcze stosunkowo bezpieczeństwo. Rozbójnicy rozbiegli się, Ralf

sam jeden pozostał na szczycie skały zamysłony, patrząc za lotną łodzią wodza, ścigającego więźnia.

Istotnie przeniósł go on na własnych barkach, z trudnością uprosiwszy, by na to pozwolił. Uczynił zaś to dla tego, że ta niedostępna strona skały była jedyną, właśnie niestrzeżoną i niewidzialną nawet dla rozbójniczych straży. Tam na dole, w zaułku skalistym, kazał on czekać na Ansgara jednej z najszybszych łodzi, którą sprowadził z odległej „chatki” a straż tamtejsza nie znała wcale *domowych* niejako spraw wodza, otoczonego zawsze gromadką owych pięćdziesięciu najpierwszych towarzyszy. Ralf znał oczywiście wszystkie hasła i tajemne znaki, to też bez najmniejszego kłopotu załoga przywołanej łodzi spełniła jego rozkazy, sądząc, że przez niego od samego wodza pochodzą.

Nie po raz pierwszy to się zresztą trafiało, wódz, przy niezmiernie rozgałęzionych i licznych swych sprawach, przy zamiarach, które dalej nawet niż proste korsarstwo sięgały, nieraz wychodził ze swój izby bez wiedzy rozbójników, jednego Ralfa zabierając z sobą i ową niedostępną na pozor drogą w dalekie i ważne się puszczał wycieczki. Dla tego to właśnie urządził się tak, aby nawet towarzysze najbliżsi nie mogli go wypływającego spostrzedz. Teraz Ralf, świadomy sam jeden wodza tajemnic, użył ich przeciw niemu, dla ocalenia Ansgara.

Rozbójnicy naradzali się pomiędzy sobą smutno jakoś, czy postępując w ten sposób przeciw wodzowi, Ralf nie naruszył ustaw towarzystwa?... w takim razie nie ocaliłoby go nic; ustawy były nienaruszalne; cała potęga normandzkiego *towarzystwa* stała na nich. Tymczasem Ralf patrzył niewzruszony ze skały na morze, trochę niespokojny o Ansgara, choć jako wychowaniec chytrego wodza umiał działać, trochę smutny i zły, bo istotnie on miał nadzieję dwie pieczenie przy jednym ogniu upiec, sądząc, że na ten raz już się Hastings własnemu gniewowi nie potrafi oprzeć. Ale pocieszał się jeszcze Mały Ralf, patrząc na morze i mrużąc:

— Zobaczmy jeszcze, co będzie, gdy powróci...

Łódź Hastingsa pędziła tak szybko, że doгнаła przecież ową łódź pierwszą, która jakkolwiek także szybowała gwałtownie, to przecież ani myślała uciekać, a nareszcie, gdy tylko mogła dosłyszeć straszny głos trąby Hastingsa, stanęła jak wryta na ten znak tak dobrze znany. Wódz ją dopędził i wskoczył w nią, ale Ansgara nie znalazł! Łódź ta miała tylko rozkaz od wodza, jak sądziła, a w istocie od Ralfa, dobieść jaknajczyżej pomorskich wybrzeży i wracać z wiadomością, co się na Pomorzu dzieje?... Hastings zrozumiał podstęp odrazu. Wprawdzie, puszczając się sam w pogoń

w tym najpewniejszym jak sądził kierunku, rozesłał on zarazem łodzie na wszystkie inne strony w tym samym celu, ale teraz pewnym był, że wszystkie one tak, jak on sam, spotkają puste łodzie jego własne, porozpuszczane licznie przez Ralfa, dla zamaskowania tej jednej, którą Ansgar w istocie do Hamburga niechybnie popłynął.

Tak rzeczywiście było: Ralf oddawna przygotował swój podstęp i poruszył całą flotyllę korsarskich łódek z najodleglejszych „chatek”, która to flotylla przecież ani myślała przeszkadzać jednej z należących do niej łódek prześliznąć się przez środek jęj do Hamburga.

Tejże nocy, gdy wszyscy już powrócili z próżnej gonitwy do „domu”, Normandowie spoczywali wśród skał w swych legowiskach i rozmawiali między sobą, zdumiewając się nad przyczyną nadzwyczajnej wodza cierpliwości względem Ralfa. Wszyscy się na to zgodzili, że przyczyną tą była potrójna owa wodza przysięga, ów ślub, wykonany przezeń przed laty. Wódz urosł jeszcze w powagę w oczach towarzystwa za to, że tak wierny był ślubom, chociaż każdy wiedział, iż Mały Ralf przebrał na ten raz miarę...

Gdy tak gawędzono na dole, tymczasem Hastings i Ralf spali na szczycie skał w napowietrznej, futrami wyłożonej, a na wichry rozwartej izbie. Ralf miał tam u bocznej ściany takie same łoże ze mchu morskiego i z soboli, jakie wódz miał w głębi skalistej rozpadliny. Obaj spali na swych łożach. Wódz, wróciwszy z próżnej gonitwy, nie przemówił ani słowa do Ralfa.

O samą północy dziwne, niestrudzone w tej porze roku słońce skandynawskie, ledwie na wpół przymrużało powieki, ale zresztą cisza panowała na lądzie i morzu, jakby cała natura odsypiała potrzebny jęj czas spoczynku... Hastings powstał... wziął cicho długi miecz, który miał zawsze pod ręką i stąpając bez szelestu po miękkich futrach, jak widmo stanął nad Ralfem!... Hastings doprowadzony był do ostateczności, on nie składał przysięgi, że zabijać będzie w otwartym boju tylko, a syn truciciela dwunastu stryjów pewno też nie miał skrupułów do zabijania bezbronnych. Hastings wznosił miecz nad głowę śpiącego, patrząc nań bacznie, a miecz wznosząc coraz wyżej dla potężniejszego zamachu... gdy cisnął go nagle z dźwiękiem na skały, a sam, rzucając się na kolana przy śpiącym, jęknął z głośnym płaczem niepojętym:

— O bogowie! to mój maleńki brat! zupełnie taki, jak mój maleńki brat, jedyny, który kochał mię okrutnika!...

Ralf, z gotowym mieczem gołym w dłoni, wstał zwolna z łoża:

— Ażebyś ty przepadł!—rzekł—razem z twoim bratem i z twoim płaczem, któregobys się wstydzić powinien!

Stał chwilę Ralf nad płaczącym wodzem, namyślając się, aż nagle rzekł żwawo:

— Ależ ty już miecz twój podniosłeś na mnie! więc już ściśle biorąc, po naszymu, rozpoczęłeś bój otwarty; przeto bijże się dalej, chytry tchórz! — i podniósł Ralf swój miecz.

— Chcesz mię zabić, to zabij — smutno odpowiedział wódz — ja nie mogę cię uderzyć, gdy spojrzę na ciebie. Uderz!

Ralf zaciął zęby ze złości, rzucił miecz, ale po chwili namysłu ujął go znowu, widocznie żał mu było tak pięknej sposobności się wyrzec, więc począł grzecznie do Hastingsa przemawiać, a narazcie jął go prosić serdecznie, nawet ze łzami w oczach, aby chciał wziąć którykolwiek z wiszących na ścianie mieczów i bił się z nim, jak się należy, na śmierć, porządnie, jak dwom uczciwym towarzyszom przystoi, bo inaczej oszaleć chyba przyjdzie mu z rozpaczny o niespełnione braterskie śluby! Prosił tak pięknie, że wzruszył nawet Hastingsa, ale nie namówił przecież: wódz ciągle powtarzał:

— Nie mogę, chociażbym chciał, nie mogę! miecz mi wypada, ręka drętwieje!

— Ażebyś przepadł! — wrzasnął na to jeszcze raz Mały Ralf, rzucił miecz swój w kąt ze złością, i sam rzucił się na swoje sobolowe łóżko. Hastings położył się także na swoim i za chwilę równy a mocny ich oddech dowodził, że oba zasnęli. Słońce dziwne, coraz wspaniałej po północy świecące, przyglądało się w milczeniu dziwnym ludziom, śpiącym w biało-futrzanęj dziwnęj izbie, na wierchołku nadbałtyckiej skały.

II.

I znowu lat kilka ubiegło. Towarzystwo rozbójnicze Normandów rozrosło się w taką potęgę, że najobszerniejsze grody, nawet w najdalszych głębiach kraju nad brzegami rzek położone, przed nią truchlały. Łodzie ich, z wielką umiejętnością zbudowane, szybowały po oceanie nieledwie jak ptaki po powietrzu i na bardzo płytkich wodach zarówno były swobodne; zapędzały się też w głąb' Europy środkowej rzekami, tak zupełnie, jakby gośćmi dla nich otwartymi i dopływały nieraz prawie aż do źródeł. Dzielność, a bardziej jeszcze chytrność Hastingsa w użyciu przeróżnych podstępów, zasadzek i zmyśleń, tak go wsławiła, że sami wodzowie dawniejszych band korsarskich i inni nowo się pojawiający, za zaszczyt sobie mieli i nie-

mylną korzyść poddawać się pod jego opiekę, kierunek i rozkazy, i wodzem go głównym nazywać.

Był więc Hastings w istocie, jakby królem mórz i władcą morskiego państwa rozległego niezmiernie, a podwładni ślepo i z zapalem spełniali jego rozkazy. A jednak on sam, syt i przesycony bogactwami i potęgą, smutniejszy był teraz i jeszcze przykrzej drwiącym a gorzkim uśmiechem napiętnowany, niż wówczas, gdy młodym chłopakiem będąc leżał samotny na książęcym futrze w żalomie dzikiej skały nadmorskiej i pierwszych pięćdziesięciu Normandów na towarzyszy sobie werbował. Ci pięćdziesięciu stanowili zawsze jego najbliższe otoczenie w owym pierwotnym jego grodzie nadmorskim, w którym z pozoru nic się nie zmieniło, bo zmian wewnętrznych umyślnie unikano dla niepoznaki, ale w rzeczywistości skorzystano mądrze z obronnego z natury miejsca i kryjąc po za skałami i wysepkami mury i tamy, uczyniono gród ów niezdobytym.

Dowiodła tego w początkach jeszcze wyprawa jedna i druga zbuntowanych korsarskich wodzów, którzy powstającą dopiero Hastingsa potęgę znieść chcieli i słynne jego skarby pochwycić, a nie poddałszy inaczej, chcieli go jak lisa lub wilka w norze podkurzyć i zdusić, łudząc się jej niewinnym dziko-spokojnym pozorem. Straszna „igraszka”, jaką sobie wówczas z nimi Hastings wyprawił, dowiodła dopiero tajemniczej obronności jego „nory” i skrytej jego siły; skruszyła na zawsze wszystkie przeciw niemu zamiary i ugruntowała jego potęgę ostatecznie. Odtąd to wszystkie rozbójnicze morskie bandy, wraz z ich wodzami, były mu podległe i wiernie mu służyły, olśnione rozbójniczą jego mądrością.

Wprawdzie z najbliższych towarzyszy Hastingsa, z owych pięćdziesięciu, kilku zginęło w ciągu lat ubiegłych, ale miejsce ich zajęli inni, wybrani do tego pożądanego od wszystkich zaszczytu, i wcielili się w to pierwotne serce towarzystwa tak, że Hastings był zawsze otoczony swoimi, którzy w ogień, tak samo jak w wodę, szli za nim.

Ale mimo to wszystko, smutek, rozpacz nawet cisnęły coraz dotkliwiej pierś wodza, jakkolwiek, jako poganin i Normand, nie znał on wyrzutów sumienia. U pogańskich Normandów bowiem, korsarstwo było uważane jako bołaterskie rzemiosło, nic więcéj. A że zawsze, czy to dostawszy się w ręce sprawiedliwości, czy też nieprzyjacielskiej bandy rozbójniczej, tracili życie w mękach straszliwych, to u twardych owych ludzi uważane było za naturalny koniec ich burzliwego życia.

Ciężki smutek wodza, rozpaczne szły jego, podczas których całymi dniami i tygodniami nawet unikał ludzi w dzikich na szczycie skał sa-

motniach, z innych też wcale pochodziły pobudek; a było ich dwie: niczém nieprzejednana nieprzyjaźń Ralfa, czyli niespełniona dotąd potrójna woda przysięga, jak sądzono, i niespełnione jego dotąd rozległe zamiary, co do dziedzicznego kruszwickiego księstwa. To była przyczyna Hastingsa rozpaczy. Potęgę swą morską, bogactwa swoje bezmierne, miał za nic. Chciało mu się tego, czego nie miał, a coraz bardziej wątpił, aby to mógł mieć kiedykolwiek. Bo serce Małego Ralfa tchnęło tylko żądzą jego śmierci w otwartym boju, a Ansgara nie mógł znów Hastings pochwyć od owego czasu, gdy pochwyconego przypadkiem Ralf wydarł mu znowu. Bez Ansgarowej zaś potęgi Hastings wątpił o możliwości spełnienia swych zamysłów, zwłaszcza po różnych a licznych próbach.

(D. n.).

Rośliny podobne do zwierząt.

(Dokończenie).

Do mięsożernych zaliczają także pewną wodną roślinkę, która z innych względów jest osobliwą. Niedawno mówiliśmy o nurzańcu, co to w czasie kwitnienia rozkręca długie, śrubowate szypułki i wypływa na powierzchnię wody. Otóż i pływacz, czyli *Utricularia*, niemniej dowcipny ma do tego przyrząd. Roślina ta zazwyczaj spoczywa na dnie wód spokojnych, liście jej szczupłe, nitkowate, wyglądają raczej jakby drobne, rozgałęzione korzonki, a pośród nich widzieć się dają liczne pęcherzyki, wypełnione kleistą substancją dość ciężką i ciężar ten utrzymuje roślinkę na dnie wody. Ale gdy pora kwitnienia się zbliża, liście zaczynają wydzielać z siebie powietrze, które się wciska do owych pęcherzyków. A trzeba wiedzieć, że każdy pęcherzyk ma ruchome deneczko, czy też nakryweczkę. Naciśnięta tym sposobem, nakryweczka się otwiera, klej wycieka, a natomiast pęcherzyk wypełnia się powietrzem. Wyobraźcież sobie, co następuje: pęcherzyków tych jest mnóstwo, wszystkie teraz są wydęte i lekkie, jak baloniki malutkie, więc całą roślinkę dźwigają do góry, na powierzchnię wody, gdzie kwiaty mogą się rozwijać bezpiecznie, a pyłek nie lęka się zniszczenia. Kiedy się wszystko odbędzie, jak należy i nasionka się zawiążą, liście znów, zamiast powietrza, wydzielają klej, który wypełnia pęcherzyki i cały kram idzie napowrót na dno.

Ale warto przecież wspomnieć, jak wyglądają kwiatki, które tyle kłopotu przyczyniają roślinie, ażebyście je rozpoznać mogli, jeżeli na nie kiedy natraficie. Najpierw z pośród listeczków wyrasta

głębik dość wysoki; tak nazywamy lodyżkę, wyrastającą z korzenia, ale niemającą liści na sobie; na tym głębiku ukazują się przysadki czerwone, rodzaj okrywy, zastępującej kielich, z każdej wychodzi szypuleczka, na której wykwita żółty kwiatek dość duży, kształtem przypominający nieco znane powszechnie lwie pyszczki, z krótką ostrogą sterczącą. Ostroga jest to przedłużenie spiczaste denka kwiatowego, takie, jak u ostróżki naprzykład.

Otóż ten osobliwszy pływacz jest także rośliną mięsożerną; przekonano się, że pęcherzyki owe, nakryweczkami opatrzone, służą także do chwytania drobnych owadków, są to bardzo dowcipnie urządzone pułapki. Muszka może się wcisnąć do środka, podnosząc nakryweczkę, ale już się ztamtąd nie wydostanie napowrót i niknie w tkankach rośliny, pochłonięta żarłocznie.

Inna roślina, podobna bardzo do pływacza, ma także same drapieżne upodobania. Jest to tłustosz, tak przewany dla liści tłustych, mięsistych, które wyrastają tylko z korzenia i w różyczkę ułożone są na ziemi. Z pośród tych liści wznosi się do góry jeden lub kilka głębików, z których zwieszają się pojedynczo ładne kwiateczki fiołkowe, z długą spiczastą ostrogą. Tłustosz, czyli *pinguicola*, jest jakby ziemno-wodną rośliną, bo przebywa na mokradłach i torfowiskach. Mnóstwo tych roślinek można widzieć na mokrych łąkach pod Zakopanem. Mięsiste ich liście pokryte są na górnej powierzchni ostremi włoskami, a przy nasadzie mają gruczołki klejowate. Jak tylko nieroztropny owadek usiadzie na tym listku, który tak smakowicie wygląda i wabi klejkiem swym sokiem, natychmiast włoski chwytają go za łapki i przytrzymują, klej odejmuje mu władzę, nakoniec liść zagina się od brzegu i biedne stworzenie przylega całkowicie do niego, a po dniach kilku szczątki owadu znikają, jakby utonęły w tkankach rośliny.

Ale najosobliwszą ze wszystkich roślin mięsożernych jest amerykańska muchołówka, także żywolistem zwana, po łacinie, *Dionaea muscipola*. Wyobraźcie sobie liść zakończony dwiema blaszkami, spojenymi, jakby zawiaską. Blaszki te obrośnięte są w około sztywnymi włoskami, a na powierzchni mają gruczołki, sączące sok lepki. Owady, zwabione tą cieczą, siadają na listkach żywolistu i, zupełnie jak w bajce, za łakomstwo ciężką karę ponoszą. Liść, podrażniony dotknięciem, stula obie połówki, ostre włosy chwytają muchę, jakby w szpony, a im więcej biedne stworzenie się miota w tém swoim więzieniu, tém więcej ją ścisną i tém prędzej ginie uduszone. Jak widzicie, prawdziwa to jest muchołówka.

Dziwna ta roślina śledzona była z bliska przez uczonych ludzi, niema też najmniejszej wątpliwości, że tylko do mięsnych potraw ma takie osobliwsze upodobanie. Probowano naprzykład kłaść na liściach muchołówki drobne okruszyny sera; liść kurczy się, ale wnet, jakby poznał swoją omył-

W opisach podróży napotkaliście może opis szczególniej rośliny, rosnącej w Indyach wschodnich, zwanęj dzbanecznikiem, *Nepenthes distillatoria*. Nazwa naukowa, *Nepentes*, wzięta jest z Odysei Homera, który tak nazywał jakiś cudowny napój, sporządzony przez piękną trojańską



Żywolist muchołówka.

kę, przestaje się zaciskać, nie wydziela wcale ostrego soku a wkońcu żółknie i uschnąć może, jeśli mu narzucają ciągle niemły pokarm. Zato wszelkie kawałki mięsa chwyta chciwie i pochłania ze smakiem. Macie dziś na rysunku żywolist muchołówkę w całej okazałości.

Helenę. Bo też dzbaneczniki dostarczają także napoju, jeżeli nie cudownego, to przynajmniej niezwykłego. Liście tej rośliny mają kształt osobliwszy. Wyobraźcie sobie liść zwyczajny, wązki, długi, którego nerw środkowy przedłuża się nakształt nitki, wygina się, a na samym końcu dźwi-

ga prześliczny dzbanuszek zielony. Tak, najprawdziwszy dzbanuszek, nawet z pokryweczką, a do tego wodą napełniony.

Pewien podróżny, odbywając wycieczkę naukową na wyspie Madagaskarze, zabłądził w pustej okolicy, a dręczony nieznośnym poagnieniem, nigdzie ani źródła ani strumyka dojrzeć nie mógł. Już rozpacz prawie go ogarnęła, gdy wtém spostrzegł przed sobą zawieszony na krzaku szczególne naczynka, do małych dzbanuszków podobne. Zrazu mu się zdawało, że to gorączkowe jakieś przywidzenie, ale zbliża się, przypatruje, i o dziwo! w tych naczynkach, w których wy już odgadliście zapewne liście dzbanecznika, znajduje zapas upragnionej wody.

W Ameryce, w bagnistych lasach kanadyjskich, wyrasta także roślina podobna, kapturnica, czyli saracenia. Liść jej gruby, mięsisty, zakręcony jest w kształt różka, a ten zawsze jest wodą napełniony. Przekonano się jednak, że napój, gromadzący się w liściach dzbanecznika i kapturnicy, nie jest przeznaczony jedynie dla zbłąkanych podróżników, gdyż często znajdowano w nim owady, które się łowią w pułapki, a jak tylko taka żyjąca istota się tam dostanie, natychmiast ciecz zaczyna je rozpuszczać, gdyż gruczołki, znajdujące się w kątach liści, wydzielają obficie sok ostry i gryzący.

Możnaby naliczyć mnóstwo innych roślin, które chwytają i o zgubę pripraviają owady, nie wszystkie jednak zasługują na nazwę mięsożernych, gdyż niektóre tylko z nich rzeczywiście te swoje ofiary pochłaniają, jako pokarm. Nietylko owady, ale i inne stworzenia znacznie większe, jak ptaszęta i drobne płazy giną nieraz w podobnych pułapkach roślinnych. W cieplarniach hodują często piękną roślinę zwrotnikową, z rodziny dyniowatych, zwaną *gronowią*; gałązki jej, rozpostarte na wszystkie strony, pokryte są ostremi włoskami, które się czepiają do wszystkiego, jak haczyki. Zwykle także w wilgotnych cieplarniach osiedlają się małe szare jaszczureczki i polują na owady. Jeżeli zwierzątko wśliźnie się pomiędzy gałązki gronowii, haczykowate włoski chwytają je natychmiast i trzymają tak silnie, że najczęściej ginie w tém więzieniu, nie mogąc się z niego wydostać.

Widzieliście, że tak przy chwytaniu owadów, jak i innych zjawiskach, o których opowiadaliśmy w tej pogadance, rośliny miewają wyraźne ruchy. Mówiąc o tych ruchach wspomnimy także o roślinach wijących się, jak na przykład powój, fasola i wiele innych. Jeżeli chcecie mieć jeszcze jeden dowód, że rośliny poruszają się tak zupełnie, jakby to czyniły z pewną świadomością, przypatrzcie

się uważnie, jak powoje owijają się na swoich kijkach. Niezawodnie wszystkie w jedną stronę. Sprobujciez te giętkie łądyżki odwrócić, może wam się zdaje, że młoda roślinka dałaby się przekonać. Ale nikomu jeszcze nie udało się ta sztuka; dzieścię razy ją naginać będziecie, ona się dziesięć razy odwróci, a gdybyście chcieli koniecznie na swoim postawić, zginie, a nie ustąpi.

Wszystko to nas przekonywa, że rośliny nie są wcale nieruchome, jak się na pozór wydaje, ale chociaż nie biegają i nie fruują, mają jednak swoje właściwe ruchy bardzo wyraźne.

M. J. Z.

Listy z Podola i Odesy.

Poświęcone pilnej i roztropnej Marylce,
przez Waleryą Stacherską.

(Dokończenie).

LIST VI.

Droga Marylko. Od kilku dni nie pisałam do ciebie, ale były tak straszne upały, że mi prawie przytomność odbierały. Od rana do późnej nocy żar słoneczny, połączony z wiatrem duszącym, suchym, który dał nieustannie. Dotąd zwykle gorąco mężnie znosiłam, ale teraz upadałam ze znużenia i oprócz kąpeli morskiej, zlewałam się kilka razy w ciągu dnia zimną wodą, chcąc się troszkę ochłodzić; straciłam przytém apetyt i sen, i wpadłam w jakiś stan rozdrażnienia nerwowego, nad którym nie mogłam zapanować. Szczęściem od dwóch dni trochę chłodniej, zaczynam lżej oddychać i myśleć, najlepszy dowód, że wzięłam się do pisania; przez cały czas tych upałów byłam jak w gorączce. Na początek tego dobrego usposobienia, opiszę ci przyjemną wycieczkę, którą odbyłam wczoraj, a na której spełnienie oddawna czatowałam.

Otóż pragnęłam wyjechać łodzią na otwarte morze, przy wschodzie słońca, lecz przez kilka dni fale były bardzo silne, a przytém nie łatwo mi było znaleźć kogo, coby miał toż samo upodobanie, lub uprzejmość towarzyską, zdolną do wyświadczenia mi tej grzeczności.

Ale chcącemu niema nic trudnego. Ułożyłam się wreszcie z P. A. nauczycielką Francuzką, wstałyśmy wczoraj o czwartej z rana i ubrawszy się prędko, wyruszyłyśmy do portu, gdzie są łodzie do wynajęcia. Zorza ukazała się na niebie, morze było gładkie, jak zwierciadło. Doszedłszy do portu miałyśmy chwilę niepokoju, bo nigdzie sto-

sownej łodzi nie mogliśmy upatrzeć, nareszcie zobaczyliśmy jedną, przyczepioną do brzegu, ze zwiniętymi żaglami, nakrytą płótnem do połowy. Ta w sam raz byłaby dobrą, ale gdzie ten, który nas powiezie? Zaczynamy rozmawiać głośno, rozpytywać się, a tymczasem owo tajemnicze przykrycie uchyla się, i dwoje zaspanych oczu spogląda na nas z ciekawością i zapytuje po rosyjsku, czego chcemy. Nowy kłopot, bo ani ja, ani moja towarzyszka nie mówimy tym językiem. Wreszcie rozmówiliśmy się po francuzku, a ułożywszy się z naszym marynarzem, wsiadliśmy do łodzi, szczęśliwie, żeśmy dopięli celu.

Przecudowny widok przedstawił się naszym oczom. Słońce zaczęło wynurzać się z poza ostatnich krańców morza w całym swoim majestacie, ogromna ognista kula zawisła nad falami i ozłociła je, obłoki przybrały najpyszniejsze świetlane barwy, mieniając się w purpurowe i różowe blaski. Nic z tym widokiem porównać się nie da, patrzyliśmy też nań w niemym zachwycie. Łagodny wietrzyk wydymał rozpięte żagle, a świeżość powietrza morskiego napawała nas niemałą rozkoszą.

Tymczasem nasz majtek przypatrywał nam się z zajęciem i zaczął wybadywać łamaną francuszczyzną, zkąd jesteśmy. Zaspokoiwszy swoją ciekawość, dał nam się także poznać. Dowiedzieliśmy się, że jest Grekiem z wyspy Korfu a marynarzem z powołania, potem rozmawiał z moją towarzyszką po angielsku, bo był kilkanaście lat na statku angielskim, odbywał podróz do Indj i Chin, a teraz na stare lata osiadł w Odesie. Ma swoją łódź i zapewniał nas, że go tutaj wszyscy znają, że najlepiej wiosłuje, a jego łódź, robiona w Tryeście, mogłaby i do Ameryki popłynąć. Śmiałyśmy się z jego przechwałek, ale musiałyśmy przyznać, że doskonale wiosłuje; popłynęłyśmy daleko na otwarte morze, jedna z nas kierowała sterem, według jego wskazówek, chwalił nas, żeśmy go tak dobrze rozumiały. Półtorej godziny, bo umówiliśmy go na ten przeciąg czasu, zbiegło jak jedna chwila, trzeba było wracać, miałam jechać do kąpieli. Powróciwszy do portu, zapłaciliśmy naszemu marynarzowi, dając mu trochę więcej, niż mu się należało; powiedział, że jesteśmy wspaniałe i ofiarował swoje usługi na przyszłość.

Chciałabym, droga Marylko, powtórzyć kiedy taką wycieczkę razem z tobą; któż wie, może to życzenie moje spełni się kiedy. Piękny jest świat Boży, i ludzie na nim nienajgorsi!

Na tym opisie kończę moje listy, za dwa dni wyjeżdżamy z Odesy, trzeba myśleć o pakowaniu się i załatwieniu niektórych sprawunków.

Bóg z tobą i z tymi wszystkimi, których Kocham i o których częściej myślę, niż to sama wypowiedzieć mogę.

Przygody młodych podróżników

NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

Długo siedzieli podróżnicy nasi, zachwycając się tym widokiem, wreszcie sir Primrose wyjął zegarek z kieszeni.

— Pora już pomyśleć o spoczynku — powiedział.

Podróżnicy powstałi, raz jeszcze spojrzeli na oddalony widnokrąg i okrzyk zdziwienia wyrwał się z ich piersi.

— Ibrahimie! co to jest, co to być może?

Egipcjanin przybiegł natychmiast z głębi mieszkania, gdzie przygotowywał nocleg dla swoich gości.

— Patrz! — rzekł Robert i wskazywał w oddaleniu długą smugę światła, która przesuwawała się w licznych zakrętach po piaskach pustyni i wybrzeżach Nilu, jakby olbrzymi wąż ognisty. Przypatrując się uważniej, można było dojrzeć wyraźnie pochod licznych jeźdźców, konie, wielbłądy, turbany, rysowały się na tle ciemnej przestrzeni, fantastycznym blaskiem oświetlone. Dziwne to zjawisko zbliżało się powoli.

— Powiedz nam, Ibrahimie, co to znaczy — powtarzali podróżnicy.

Fellah uśmiechnął się.

— To jest po prostu karawana — rzekł spokojnie. — Muzułmanie afrykańscy zbierają się z różnych okolic i gromadnie dążą do kolebki i do grobu Proroka, to jest do Medyny i Mekki. W dalekiej tej pielgrzymce muszą przechodzić przez Kair, przebywać pustynią, i wypoczywają dopiero w mieście Dżidda, gdzie się zaczynają miejsca święte.

— Dżidda! — zawołał Jakób — a toż i my także chcemy zwiedzić to miasto; mamy je zapisać w planie naszej podróży.

— Ależ to się wybornie dla was składa — rzekł Egipcjanin. — Jutro raniutko karawana według zwyczaju zatrzyma się obok mojego mieszkania, ażeby się w wodę zaopatrzyć. Bądźcież w pogotowiu, ja was nauczę, jakim sposobem możecie się przyłączyć do tych pielgrzymów i razem z nimi odbyć podróz.

Jak przewidział Ibrahim, nazajutrz o świcie niezwykle hałas przebudził naszych podróżników.

Był to tentent licznych koni i wielbłądów, słyhać było także chrapliwe, jednostajne śpiewy.

— Wstawajcie, chłopcy! Robercie, Marku, wstawajcie. Karawana nadciąga — wołał Jakób.

Był to widok niezwykły i okazały. Wyobrażcie sobie gromadkę złożoną z sześciu tysięcy jeźdźców na dzielnych koniach, liczne wielbłądy, dźwigające namioty i rozliczne podrózne przybory. Ludzie w malowniczym stroju wschodnim, konie kształtne i zwinne, ogromne wielbłądy, wszystko to razem tworzyło widok dziwny, fantastyczny dla oka Europejczyka. Starcy w zawojach zielonych, które są oznaką wysokiej godności, otwierali pochód; przesuwali oni w palcach paciorki ze słońsiowej kości. Za nimi jechali młodszy, a ci trzymali w rękach strzelby i miecze. Po środku, pomiędzy dwoma szeregami jeźdźców, szły wielbłądy z ciężarami. Karawana zatrzymała się przy pałacu córki Faraona; jeden ze starców zawołał Ibrahima po imieniu. Fellah wybiegł natychmiast i pozdrowił go z uszanowaniem.

— Ibrahimie — rzekł sędziwy muzułmanin — potrzebujemy wody dla ludzi i żywności dla bydła.

Ibrahim odpowiedział, że dom jego i wszystko, co się w nim znajduje, jest na usługi dzieci Proroka i odszedł natychmiast spełnić polecenie starca.

Tymczasem tenże sam starzec, który pełnił widocznie obowiązki wodza, dał znak, że nadeszła godzina modlitwy. W jednej chwili wszyscy jeźdźcy pościadali z koni i uklękli na piasku, zwracając się do wschodzącego słońca.

Był to widok wspaniały i wzruszający. Tłum ten jednym głosem wołał po trzykroć: „Wielki jest Allah! Chwała mu i cześć na wieki!“ Pielgrzymi, wymawiając te słowa, padali na twarz na ziemię. Potem stary muzułmanin odmówił głośno modlitwę, wszyscy ją powtarzali, a przy końcu ozwał się znów ten sam okrzyk: „Allah! Allah! Allah jest wielki! jest Bogiem jedynym!“

Nadszedł tymczasem Ibrahim, niosąc z pomocą swojego niewolnika liczne naczynia, wodą napełnione. Pielgrzymi usadowili się gromadkami na ziemi i zapijali wodę nilową, karmili także i poili konie i wielbłądy. Zewsząd słyhać było ożywioną rozmowę. Karawana nie z samych pielgrzymów była złożona. Przyłączyli się do niej kupcy i handlarze, ażeby bezpieczniej podróżować w tak licznym towarzystwie. Gwaro więc było i wesoło pomiędzy obozującymi gromadkami.

— Cóż, moi panowie — rzekł Ibrahim do naszych Francuzów — czy namyśliliście się, i macie zamiar podróżować z tą karawaną?

— Z największą ochotą — rzekł Jakób.

— A więc najpierw pomyślcie o zmianie ubo-

ru. Oto jest kupiec, który wam dostarczy wszelkich przyborów do tego. Jeśli chcecie należeć do karawany pielgrzymów, musicie mieć strój arabski.

Domyślacie się zapewne, że młodzieńcy nic nie mieli przeciwko temu, przeciwnie, przebranie to bardzo ich bawiło.

— Doskonale robicie — mówił sir James Primrose — taka sposobność nie często się zdarza. Ja bym z wielką ochotą przyłączył się do was, ale w tej chwili ważne sprawy powołują mnie w inną stronę. Muszę niezwłocznie jechać do Alepu. Znaćcie zapewne to miasto z *Tysiąca i jednej nocy*. Alep jest jednym z najpiękniejszych portów zachodniej Azji. Cały handel syryjski tam się skupia. A jednak zazdroszczę wam przyjemnej podróży.

Przygotowania nie trwały długo. W kwadrans Jakób, Robert i Marek przybrani już byli w kaftany, burnusy, zawoje, pasy i meszty wschodnie. Wyglądali na prawdziwych Arabów.

— Chodźcie teraz za mną — powiedział Ibrahim.

Pocziwy Egipcjanin poprowadził ich do starców, idących na czele karawany i rzekł do wodza:

— Oto są trzej szlachetni cudzoziemcy, którzy pragną odbywać podróż razem z wami. Czy przyjmiecie ich sercem życzliwem?

— Niech będą pozdrowieni, jeśli imię Proroka miłe jest ich uszom — odrzekł sędziwy muzułmanin.

Jakób zapytał, jaką opłatę złożyć należało.

— U nas na pustyni płaci się tylko dobrem słowem — rzekł starzec.

Mylne to jest wyobrażenie, że karawany, udające się do miejsc świętych, złożone są z samych pielgrzymów. Jak już wspomnieliśmy wyżej, często bardzo handlarze dla bezpieczeństwa przyłączają się do nich, a nawet i Europejczycy przyjmowani są bez trudności, jeśli życzą sobie podróżować w takiej karawanie. Pustynia arabska pełna jest niebezpieczeństw dla wędrowców, a najgroźniejszym jest spotkanie Beduinów rabusiów, którzy się snują bandami, czyhając na spokojnych przechodniów. Ale karawana ma siłę zbrojną i nie obawia się żadnej napaści. Nie dziw więc, że każdy rad z tej opieki korzysta. Jedynym warunkiem wymaganym przez pielgrzymów jest przywdzianie arabskiego stroju.

Po krótkim odpoczynku, karawana wyruszyła w dalszą drogę. Podróżnicy nasi obejrżeli się raz jeszcze odchodząc i w oknie mieszkania Ibrahima spostrzegli stojącego Anglika. Sir Primrose powiewał chustką białą i wołał:

— Bywajcie zdrowi! szczęśliwej podróży.

Ibrahim odprowadzał swoich gości, a Robert

chciał mu wsunąć w rękę garść złota, ale Egipcyanin nie chciał przyjąć tego daru.

— Młodzieńcze — rzekł — póki Nil nie wyschnie, nie zginę z głodu. Schowaj swoje złoto, ja się obejdę bez niego.

Karawana posuwała się zwolna, pozostawiając ślady przejścia swojego na piasku.

— Bywajcie zdrowi, zacni cudzoziemcy — mówił Ibrahim, ściskając dłonie Francuzów — niech aniołowie, którzy otaczają tron Allaha, prowadzą was za ręce.

Pochód karawany arabskiej jest bardzo powolny. Mijano wioski i gaje palmowe, wypoczywano często, zatrzymywano się po kilka razy dziennie na modlitwy, które muzułmanie odprawiają z wielką gorliwością w pewnych oznaczonych godzinach. Na noclegach rozkładano obóz, ustawiano namioty, przyrządzano jedzenie. Straż czuwała przez całą noc, zmieniając się kolejno.

To życie, pełne niezwykłych wrażeń, podobało się niezmiernie naszym młodzieńcom, Jakóbowi przypominało młode lata. Słyszając ciągle rozmowę w języku arabskim, wszyscy trzej zaczęli wkrótce rozumieć wyrazy najczęściej używane, w kilka dni znali już ze sto rzeczowników i z piętnaście słów, mogli więc od biedy rozmówić się wcale nieźle z towarzyszami podróży.

Podróżnicy nasi zapoznali się bliżej z bogatym kupcem syryjskim, nazwiskiem Riza-ben-Assel, który wiozł do Egiptu różne pachnidła i balsamy. Karawana zbliżała się już do Kairu; na ostatnim noclegu, przed przybyciem do stolicy nowożytnego Egiptu, Robert wraz z tym kupcem odchodził z koleji straży nocną.

Tęj pamiętnej nocy dziwna się wydarzyła przygoda. Syryjczyk trzymał dobyty miecz w ręce, a ponieważ dotknięcie twardej rękojeści mu dolegało, więc ją owinał chustką fularową.

Przyświecile ognisk obozowych, płonących przez całą noc, Robert spostrzegł na tej szmatce jedwabnej rzecz osobliwszą, spostrzegł cyfrę, z dwóch łacińskich liter złożoną. Były to litery H i V.

— Henryk Vertpré! — szepnął młodzieniec sam do siebie — to musi być chustka Henryka.

I nie wiele myśląc, zbliżył się do kupca.

— Posłuchaj mię, Riza-ben-Assel, — rzekł — i nie obrażaj się mojem pytaniem. Zkąd masz jedwabną chustkę, którą owinałeś rękojeść twego pałasza?

— Kupiłem ją niedawno na bazarze w Beyrucie — odpowiedział uprzejmie Syryjczyk.

— U kogo?

— U marynarza berberyjskiego, który handlował koralami.

Robert chciał się dowiedzieć coś więcej, ale nie

był jeszcze dość biegłym w języku arabskim, musiał więc poprzestać na tém. Jednakże drobna ta okoliczność miała dla niego znaczenie ogromne. Był to promyczek światła wśród ciemności.

Rano Robert opowiedział to osobliwsze zdarzenie Markowi i Jakóbowi i rzekł w końcu:

— Mam przecucie, że niezadługo odzyskamy Henryka.

— Allah jest wielki! Allah jest Bogiem jedynym!

Pielgrzymi witali temi okrzykami widok minaretów Kairu, które ukazywały się w oddali.

— Za chwilę będziemy u bram miasta — rzekł Riza-ben-Assel.

Wspaniały meczet wznosi się u samego wejścia do Kairu. Karawana zatrzymała się przy nim dla odprawienia modłów. Potém rozłożono oboz w tém miejscu.

Piramidy, obeliski, sfinksy i inne okazałe zabytki, niepospolite dają wyobrażenie o wielkości starożytnego Egiptu. Kair wygląda zupełnie inaczej, chociaż ma także piękne budynki, jest miastem bogatym i ludnym, liczy ze czterykroć stotyści mieszkańców. Kair był przez czas długi rezydencją kalifów, pochodzących od namiestników Mahometa i miał świetne czasy, gdy potęga muzułmańska dochodziła do szczytu swęj wielkości. Kwitły tam niegdyś nauki i sztuki. Ale gdy kraj podbity został przez Turków, cywilizacja szybko chyliła się do upadku.

Dawniej sułtan turecki przysyłał z Konstantynopola wice-króla i ten uciskał Egipt wspólnie z beyami Mameluków. Tak się nazywała ludność, pochodząca od niewolników cudzoziemców, zbieranych w różnych krajach przez Dżengis-kana, sławnego mongolskiego władcę. Monarchowie muzułmańscy, panujący w Egipcie, kupowali tych niewolników, i utworzyli z nich milicję wojskową. Ale Mameluki doszli z czasem do wielkiej potęgi i przywłaszczyli sobie ogromną władzę w kraju; ustanowili swoich beyów, uciemiężali straszliwie biednych Egipcyan i zdierali z nich ogromne podatki. Rolnik musiał potem swoim obficie skrapiać ziemię, aby im dostarczyć wszystkich zbytków, w których się miłowali. Słuszną to była kara za winy przodków, którzy w podobny sposób uciskali Izraelitów. Dopiero w czasach naszych ważne zmiany zaszły w Egipcie. Mehemed-Ali, Czerkies rodem, mianowany przez sułtana wielkorządcą Egiptu, rozpoczął walkę z potęgą Mameluków i zadał jęj cios ostateczny.

Wypadki te należą do historii, nie będziemy się tu o nich rozpisywali. Obecnie Egipt jest państwem lennem, zależnem od Turcyi. Namiestnik sułtana nosi tytuł Kedywa, i więcej ulega

monarchom postronnych państw europejskich, aniżeli sułtanowi tureckiemu.

Przechodząc przez ulice Kairu, podróżnicy nasi przypominali sobie te dzieje nowożytnego Egiptu, lecz wnet inne myśli ich zajęły. Niepokój o przyjaciela, którego los mógł być najsmutniejszy, ścisnął serce młodzieńców i zasępił czoło starego Jakóba. Udali się więc niezwłocznie do konsulatu francuzkiego i złożyli tam dokładny opis całego zdarzenia wraz z rysopisem Henryka; toż samo przedtém uczynili byli w Aleksandryi i tu, podobnie jak tam, okazano im wiele współczucia i dodano otuchy.

Powracali właśnie z konsulatu, gdy na zakręcie ulicy Dety ujrzeli młodego abisyńskiego niewolnika, który zbliżył się do nich z miną tajemniczą i dał znak ręką, że ma im coś do powiedzenia.

— Czego żądasz od nas, młodzieńcze? — zapytał Jakób.

— Chcę was zaprowadzić do mego pana, dostojnego Kadura.

Trzej Francuzi spojrzeli na niego ze zdziwieniem; pierwszy raz w życiu słyszeli to imię.

— Któż to jest ten twój pan, dostojny Kadur? — zapytał stary marynarz.

— Jest to sławny myśliwy; nikt w całej Afryce nie zgładził ze świata tylu drapieżnych panter.

— Gdzież on mieszka?

— Idźcie za mną, a ja was zaprowadzę do niego.

Każdy się domyśli, że trzej nasi przyjaciele zawahali się w pierwszej chwili. Spojrzeli jeden na drugiego, jakby się naradzali wejrzeniem. Niedziw, że ich ogarnął mimowolny niepokój. Byli sami w obcém, wschodniém mieście, nie znali ani obyczajów, ani mowy mieszkańców, nie mieli wyobrażenia o prawach tego kraju, trudno było przewidzieć, co ich spotkać mogło, a nauczeni smutnym doświadczeniem, niedowierzali nikomu. Ileż to razy do uszu ich dochodziły opowiadania o zasadzkach, tajemniczych podstępach, których ofiarą padali ławowierni podróżnicy; sami zresztą przekonali się o tém dostatecznie. Chłopak ten przemawiał do nich bardzo uprzejmie, ale wszak mniemany handlarz koralu okazywał im wiele przychylności i pięknie się umiał ułożyć; zdrajca wyglądał tak słodziutko! Rozsądek nakazywał ostrożność; to też milczeli przez chwilę, mierząc podejrzliwym wzrokiem czarnego posłańca owego nieznanego jakiegoś Kadura.

Z drugiej strony jednak nie wypadało odpychać pogardliwie gościnnych zaprosin. Europejczyk, podróżujący na Wschodzie, wiele na tém zyskuje, gdy umie zjednać życzliwość mieszkańców. Tym sposobem tylko może sobie zapewnić bezpie-

czeństwo w tej krainie, gdzie i przyroda i ludzie pod czarującą powierzchownością kryją często straszne niespodzianki. W tej chwili podróżnicy nasi myśleli o losie Henryka, więcej niż o własnej obawie. Zaraz też przyszło im do głowy, że ten dostojny Kadur mógł coś wiedzieć o nieszczęśliwym młodzieńcu, albo przynajmniej o rozbójniku morskim, który go pochwycił. Porozumiewawszy się wejrzeniem, postanowili przyjąć zaproszenie.

— A więc prowadź nas, młodzieńcze, do mieszkania dostojnego Kadura — rzekł Jakób.

Abisyńczyk poszedł naprzód, oni szli za nim i wkrótce stanęli przed małą furtką, którą niewolnik otworzył i wprowadził ich na dziedziniec, otoczony wysokim murem. W głębi wznosił się ozdobny pałacyk w stylu arabskim, z okienkami ostrołukowymi i obszernym tarasem.

Niewolnik zastukał lekko do drzwi wchodowych, które się natychmiast otworzyły. Podróżnicy nasi weszli za nim do wielkiej sieni, wysłanej skórąmi panter; jedynym sprzętem tej sieni była wielka skrzynia z drzewa cedrowego, stojąca pod ścianą. Ztąd wejście osłonięte wspaniałą draperyą z perskiej tkaniny prowadziło do dalszych apartamentów.

— Chodźcie za mną, panowie cudzoziemcy — mówił niewolnik — w pierwszej sali obaczycie mego pana, dostojnego Kadura.

Mówiąc to, podniósł zasłonę, a idąc zawsze naprzód, i kłaniając się aż do ziemi, według obyczaju wschodniego, oznajmił przybycie gości w te słowa.

— Dostojny Kadurze, oto są trzej cudzoziemcy, których kazałeś przyzwać przed oblicze twoje.

Jakób, Robert i Marek weszli za nim do obszerniej i pięknej sali, i ujrzeli przed sobą człowieka okazałej postaci, który mógł mieć około lat trzydziestu. Sidi Kadur siedział obyczajem wschodnim na poduszkach, ułożonych na podłodze, wysłanej bogatym kobiercem i palił fajkę na długim cybuchu. Strój jego różnił się nieco od ubioru przyjętego powszechnie przez muzułmanów w Egipcie. Miał na sobie dwie suknie, jedną białą wełnianą, drugą błękitną jedwabną; oprócz tego kaftan sukieny bardzo długi, spodnie szerokie, fałdowane, u góry obciśnięte na biodrach szerokim pasem jaskrawym, u dołu ściągnięte powyżej kostek. Na nogach nie miał pończoch, tylko sandały z karmazynowej skóry, wyszywane ozdobnie skórzanymi tasiemeczkami różnych kolorów. Ubranie głowy składało się z kapelusza w paski białe i niebieskie, przewiązanego szeroką plecionką karmazynową, z takąż frenzlą, spadającą ponad czołem. Za pa-

sem jego zatknięty był wielki puginał o srebrnej rękojęści.

— Panowie — rzekł po francuzku — jesteście w domu prawdziwego przyjaciela; rozgoście się tak, jak u siebie.

I wskazał im ręką siedzenie usłane z poduszek naprzeciw tego, które sam zajmował.

— Dżebel — rzekł do niewolnika — podaj fajki i kawę.

Na Wschodzie żadne przyjęcie, żadna rozmowa, choćby najkrótsza, nie może się obejść bez fajek i kawy. Gościom, którym chcą okazać szczególne uszanowanie, podają oprócz tego wodę w miednicy srebrnej do umycia nóg.

Podczas gdy Abisyńczyk spełniał rozkazy swego pana, nasi podróżnicy oglądali ciekawie wszystko, co ich otaczało. W mieszkaniu sławnego myśliwca nie było wykwintu, ani wygodek, nie brakło tam jednak bogatych sprzętów i ozdób wspaniałych. Sidi Kadur musiał być w rzeczy samej możliwym i dostojnym panem.

Niewolnik Dżebel powrócił wkrótce, niosąc wielką tacę w rękę. Uśmiechał się figlarnie, musiał być w łaskach u swojego pana, więc pozwolił sobie bez wyraźnego rozkazu postawić obok filiżaneczek z kawą naczynie z chińskiej porcelany, napełnione smaczными konfiturami i karafkę z zimną wodą.

Sidi Kadur dał znak ręką, a gdy niewolnik odszedł:

— A teraz, moi panowie — rzekł — jesteście sami, i wnet wam wytłumaczę, dla czego pragnęłam się z wami widzieć. Biercie fajki, pijcie kawę i skosztujcie słodczy, a ja tymczasem opowiem wam wszystko.

Jakób wziął fajkę do ręki i z upodobaniem popijał kawę, chociaż przyrządzona była na sposób turecki, nie cedzona wcale tak, jak u nas. Robert i Marek nie palili fajek i do tej gęstej kawy nie mieli wcale wielkiej ochoty, za to z wielkim smakiem raczyli się wybornymi konfiturami i popijali zimną wodą nilową.

— Panowie — rzekł Sidi Kadur — ja pochodzę z dzielnego plemienia Tuaregów, z kraju, leżącego poza piaskami Sahary; kupcy nasi często przywożą różne płody i wyroby swoje na targi angielskie i znani są francuzkim osadnikom. Dwadzieścia lat temu, gdy był jeszcze dzieckiem, trzech ludzi z mojego plemienia zabrało się na łódź i odpłynęli na morze. Wiem tylko tyle, że mieliśmy płynąć do wyspy Malty, ale w jakim celu, czy w sprawach handlowych, czy innych mniej uczciwych, tego wam nie powiem. Domyślam się jednakże, iż towarzysze moi byli rozbójnikami morskimi. Byliśmy blisko brzegów Malty,

gdy burza się zerwała i uniosła łódkę naszą daleko, a wkońcu wyrzuciła ją na wybrzeże Sycylii. Cud to był prawdziwy, że się nie rozbiła zupełnie, znacznie jednak była uszkodzona. Gdy burza ustała, spuszczone ją znów na morze, ale w braku masztu i żagla, nie można nią było kierować. Żeglarze nie zdołali więc uniknąć spotkania ze statkiem francuzkim, który podejrzaną łódkę zatrzymał.

— To są niezawodnie rabusie morscy — rzekł kapitan okrętu — wszyscy będą bez sądu powieszni na wielkim maszcie.

(D. c. n.).

S Z A R A D A (Różia D.).

Trzecie pierwsze: ryba —

W drugim: zaimek masz.

Wszystko — zgadniesz chyba,

Gdy historią znasz,

Bo to dzielny król nasz!

Łamigłówka głoskowa.

p p
 i o o i
 c a k l a u
 n p a k k a i o
 w s a z z a d t

Z tych liter rozsypanych ułożyć znane przysłowie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 45-go.

Metamorfozy:

Mewa — Ewa.

Łamigłówki zgłoskowej:

Jaspis.

Ararat.

Cegła.

Harpun.

Oliwki.

Wenus.

Imperyał.

Cyna.

Zdzisław

Jachowicz — Stanisław.

Z POWROTEM DO OJCZYSTEJ CHATY.

Stowa Kukułki z nad Bzury,

MUZYKA

Dominika St. Pawłowskiego.

Adagio sostenuto.

Andante lagrimoso.

Cha-tko mo - ja o - pu-szczo-na, W lu-dzkiej po-nie - wier - ce, Tyś - jak cia - ło w któ-rém ko-na

Zakończenie.

I za - sty - ga ser - ce.

Bom tak długo i za długo
Zdała żył od ciebie,
Obcej myśli byłem sługą,
W obcej siałem glebie.

Ażem poczuł tam z daleka,
Co się z tobą dzieje,
Bo skra życia u człowieka
Zawsze w duszy tleje

Więc powracam do cię szczerze,
Jak serce do ciała,
Chcę pracować, kocham, wierzę!
Odźyj chatko biała!